Nr. 9. Lwów dnia 28. marca. Rok 1865.

TYGODNIK NAUKOWY.

Wychodzi co Wtorek. Kosztuje z przesełką pocztową: 6 złr. rocznie; 3 złr. półr.; 1 złr 50 cnt. kwart; 50 cnt. mieś. Listy niefrankowane nie przyjmują się.
Redakcja przy ulicy Niższej Ormiańskiej l. 364.

JUS GOŁOTARUM.

Studjum z prawa polskiego

przez

Stanisława Z..........

Jedną z charakterystycznych cech naszej przeszłości, jest demokratyczny ustrój społeczeństwa szlacheckiego. Z upadkiem możnowładztwa powstała idea równości i braterstwa na gruncie przywileju Ludwika węgierskiego, wyłączającego „*princ pes, duces et descendentes de ducali genere*“ od prerogatyw szlacheckich. Z postępem dziejów idea ta coraz większej nabierała siły, druzgocąc reakcyjne wpływy,[1]) aż znalazła swój ostateczny wyraz w wolnej elekcji i w *liberum veto*, owej „źrenicy wolności.“ Szlachta upojona aż do anarchji wolnością, powtarzała przysłowia: „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie,“ a nawet: „lepszy rycerz niż panosza,“ a na sejmach stanowiła, że pod karą infamji nie wolno się wywyższać nad równość szlachecką tytułami lub orderami zagranicznemi, to znowu, że nazwa „mniejsza szlachta“ jako ujmująca *aequalitati in perpetuum* ma być zniesioną, gdyż w równości nie masz mniejszego ani większego.[2])

Idea równości i braterstwa miała jednak swoje granice tam, gdzie się kończyła posiadłość ziemska. Szlachectwo bowiem w całej pełni swych praw przywiązane było do posiadłości ziemskiej; było, jeźli się tak wyrazić wolno „*glebae adscriptum.*“ Posiadłość ziemska była piedestalem szlachectwa; jak z jednej strony bowiem nabywanie posiadłości ziemskich było wyłączną prerogatywą szlachty, tak z drugiej znowu pełne używanie praw i przywilejów szlacheckich przywiązane było do posiadłości ziemskiej. Tylko „*bene possessionatus et bene natus*“ brał udział w życiu publicznem, tylko jemu stały otworem wszystkie urzędy i dostojeństwa Rzpltej, począwszy od laski woźnego aż do pieczęci kanclerza.[3]) Z utratą posiadłości czyli jak źródła mówią, z utratą „imienia,“ gasły zarazem i przywiązane doń najważniejsze preroga-

[1]) Na rokoszu lwowskim, tak zwanej: »wojnie kokoszej« r. 1537 wniesiony był bez skutku projekt podzielenia szlachty na wyższą i niższą. J. W. Bandtkie. Historja prawa pols. p. 277.

[2]) Konst. w. ks. lit. z r. 1699 p. 69.

[3]) Warunek osiadłości do dostąpienia jakiegokolwiek urzędu był koniecznym wypływem sądownictwa reprezentacyjnego i honorowego. Urzędy ziemskie bowiem nie były u nas stale dotowane; w razie zaś nadużycia można było łatwo poszukiwać szkody lub kary na urzędniku osiadłym. Jeszcze konstytucja z r. 1775 przepisała, żeby obdarowany indygienatem w przeciągu roku nabył posiadłość ziemską w wartości 200.000 złp. której nie mógł napowrót zbywać przed upływem lat dwudziestu; nobilitowany obowiązany był również do nabycia dóbr w wartości 30.000 złp. co wszystko musiało być autentycznie udowodnionem. W razie niedopełnienia którego z tych warunków utracało się świeżo nabyte szlachectwo. Skrzetuski. »Prawo polityczne narodu polskiego« I. p. 73.

tywy szlachectwa, lecz odżywały napowrót z nabyciem nowej posiadłości ziemskiej. Szlachectwo pozbawione swego głównego nerwu, szło w poniewierkę, w zapomnienie i w zupełną zatratę.

Na tej zasadzie opierał się podział szlachty na osiadłą i nieosiadłą. Statut wiślicki nie zna jeszcze prawnej różnicy między osiadłym a nieosiadłym; dopiero statut Władysława Jagiełły, tak zwany wartski z r. 1420 i 1423, określił dokładnie obydwa te rodzaje szlachty w następnych słowach: „*nobiles, qui ad expeditionem serviunt et judiciis terrestribus subsunt, et nobiles, qui civitatibus residentes, cervisiam propinant, aut forte alii sunt vagi, in terra nihil habentes.*"[4]) Szlachta osiadła, szlachta *par excellence* jest tu więc wyraźnie przeciwstawiona szlachcie nieosiadłej, trudniącej się wyszynkiem po miastach, nie mającej gruntowej własności, lub w ogóle stałej siedziby.

Jeszcze jaskrawiej podniósł tę różnicę znany statut Olbrachta z r. 1505,[5]) wyłączający plebejuszów od prałactw i kapitulnych godności, warując takowe wyłącznie tylko dla szlachty. Lecz nie wszystka szlachta miała wolny przystęp do kościelnych dostojeństw; statut ów bowiem ograniczył ją w tym względzie. Kandydat do prałactwa musiał być z ojca i dziada szlachcicem; on sam i rodzice jego musieli być dobrze osiedli, a co najważniejsza żyć wedle obyczaju i praw stanu szlacheckiego. Warunek ten ostatni był zawsze wymagany, nawet wtedy, kiedy przypuszczano kandydata po kądzieli nieszlachcica. Statut dozwalał przyjmować takich kandydatów pod warunkiem „*quod eorum parentes et ipsimet non exercuerint vel non exerceant eas artes et actiones, quas communiter cives et qui in civitatibus morantur exercere solent Per contrarium enim usum, nobilitas ipsa in popularem et plebeiam conditionem transire solet.*"

Społeczeństwo szlacheckie, wyłącznie rolnicze i rycerskie spoglądało z lekceważeniem na mieszczan zajętych przemysłem i handlem, uważając zajęcia takie za uwłaczające godności szlacheckiej. Ztąd też poniżenie, a nawet wzgarda dla szlachty nieosiadłej, zmuszonej rzucać się do rzemiosł lub handlu, lub żyjącej po miastach z kapitałów. Między szlachtą nieosiadłą czyli „luźną" przeważały jednak żywioły mętne, bankruci materjalni i moralni; jedni wyzuwszy się dobrowolnie z roli, osiadali po miastach i bawili się lichwą, co uważano jako ohydę, potępioną przez prawa cywilne i kościelne i pozostawiano jedynie żydom; drudzy znowu zmuszeni pozbyć się „ojcowizny" czepiali się rojami klamki panów, inni wreszcie włóczyli się po kraju, awanturnicze prowadząc życie.[6])

To stanowisko społeczne szlachty nieosiadłej znalazło wierne odbicie w prawodawstwie. Ustawy wyrażają się w pogardliwym tonie o szlachcie tego rodzaju. Technika prawna wysiliła się w wyszukiwaniu coraz to nowych, a coraz to dosadniejszych nazwisk. „Impossessionatus" „inquilinus," „odardus" (odartus) „vagus," „obłomek vel hołomek," „gołota," a nawet „hultaj" — oto cały szereg przydomków, jakiemi prawo obrzucało szlachtę luźną, poczytując ją za fusy społeczeństwa.

Myliłby się jednak ten, ktoby z nazwisk tych wnosił o materjalnéj nędzy szlachty nieosiadłej, ktoby w odartusie lub gołocie widział tylko rodzaj „lazzarona" polskiego. Byt materjalny „gołoty," szczególnie tej, która osiadała po miastach, mógł wzbudzić zazdrość u niejednego posesionata, siedzącego na jednej włoce ziemi, pracującego zarówno z kmieciem, lecz radzącego o sprawie publicznej na sejmikach zarówno z karmazynem.[7]) Jest

---

[4]) Artykuł 21 Statutu wartsk. Ob: »Starodawne prawa polskiego pomniki« wydane przez A. Z. Helcla.

[5]) Vol. I. p 303.

[6]) r. 1611 Vol. III p. 4.

[7]) »Sunt familiae quaedam nobiles apud nos in tantum proseminatae, ut aegre ordinem suum tueantur: neque expeditionibus propter paupertatem pro dignitate sufficiant « Frycz Modrzewski p. 168 — »duo tres, vel quatuor nobiles pauperes unum laneum colunt.« Vol. I. r. 152

to nowy dowód, jaką wagę przywiązywano u nas do posiadania ziemi, kiedy jeden jej zagon ceniono nad wszelki majątek ruchomy.

Z zestawionych powyżej nazwisk używa prawodawstwo najczęściej nazwy „gołota“ dla szlachty nieosiadłej.[8]) Ztąd też poszło i jus gołotarum, które nie stanowi osobnej kodyfikacji, lecz jest tylko zbiorową nazwą ustaw, porozrzucanych luźnie po całym obszarze naszego prawodawstwa.

Tak prawo ziemskie jak i jus gołotarum tyczyły się wyłącznie szlachty, lecz podstawą prawa ziemskiego była posiadłość, kiedy przeciwnie jus gołotarum rozciągało swoje panowanie na wszystką nieosiadłą szlachtę. Były to więc, że użyję porównania, dwa prawodawcze ramiona, obejmujące obydwie grupy stanu szlacheckiego, dwa przeciwległe bieguny tej osi, około której kręciły się nasze dzieje.

Jus gołotarum niosło z sobą znaczną nierówność w obliczu prawa pomiędzy szlachtą osiadłą a nieosiadłą; z rozwojem prawodawstwa, ze wzrostem szlachetczyzny i z namnożeniem się „gołoty,“ i jus gołotarum rozrastało się materjalnie i rozszerzało swój zakres działania.

Z zacytowanego powyżej statutu wartskiego widoczne są konsekwencje, jakie już wówczas w obliczu prawa pociągał za sobą jeden i drugi rodzaj szlachectwa. Jako wybitne różnice między szlachtą osiadłą a nieosiadłą podnosi ów statut: służbę wojskową (*„qui ad expeditionem serviunt*) i przynależność do sądu ziemskiego (*„qui judiciis terestribus subsunt.“*) Różnice te nie były podówczas jeszcze w prawie ugruntowane, lecz zwyczajem wprowadzone. Sądy miejskie przywłaszczały sobie jurysdykcję nad szlachtą nietylko „luźną,“ ale nawet „dobrze osiadłą,“ po miastach przebywającą, naprzód w rzeczach kryminalnych, a następnie i w cywilnych, mimo opozycji stanu szlacheckiego.

Statut wiślicki zastrzegał jeszcze, że jeśliby rycerz (miles) lub szlachcic ziemianin (terrigena) zabił albo ranił mieszczanina, sprawa dochodzoną być miała według prawa polskiego przed królem lub jego namiestnikami. Liczne wyłączenia szlachty z pod juryzdykcji miejskiej, tak zwane *„exempta,“* były źródłem ciągłych sporów, a nawet zamieszek po miastach. Dlatego też statut Zygmunta Augusta z r. 1550[9]) postanowił, aby na przyszłość szlachta, posiadająca w miastach domy lub jakiekolwiek budowle, podlegała w rzeczach cywilnych juryzdykcji miejskiej i ponosiła wszelkie ciężary i daniny, przywiązane do tych posiadłości. W sprawach kryminalnych poddaną została szlachta statutem toruńskim sądom miejskim, lecz tylko w razie popełnienia gwałtu (*violentia)* i schwytania na gorącym uczynku *(in recenti crimine)*. Statut ten nadany początkowo (r. 1520) tylko Toruniowi, rozszerzony został przez Zygmunta I. r. 1539 na wszystkie miasta.[10]) Magistrat miejski obowiązany był jednak sądzić szlachcica w przytomności starosty grodzkiego, który mógł wstrzymać wyrok, odsełając sprawę do rozpoznania króla. Lecz już w r. 1656 zmieniono tę ustawę w ten sposób: „że popełniający w miastach gwałty, w grodzie sprawować się mają, szlachta z wolną apelacją na trybunał, plebejusz bez apelacji.“[11])

Od służby wojskowej ociągała się szlachta nieosiadła sama z całkiem naturalnych przyczyn, gdyż wyprawa wojenna, na którą każdy wyruszał we własnym rynsztunku i z dostatecznym zapasem żywności, przekraczała nieraz

---

[8]) Już statut wiślicki używa tej nazwy, choć nie w takiej rozciągłości, jaką przyswoiły sobie późniejsze ustawy — »Item si famulus alicujus dictus »gołota« aut alias »obłomek« — art. 94. Co do tej nazwy znajdują się liczne warjanty w wydaniach statutu wiśl; przytaczam tu najwybitniejsze z nich: gomołek — gołomęka — gałamaga aut alias włomek — gołomatka — »po polsku gołomęka a po niemiecku usknacht« (hausknecht) mówi tłumacz z wieku XV.

[9]) Herburt: »Statuta regni Poloniac« Lublini 1756 tit: Nobilis p. 198.

[10]) Vol. I. p. 521.

[11]) Bandtkie: »Historja prawa polskiego« p. 669.

*

granice kraju i przeciągała się często przez całe miesiące a nawet i lata. Dla biedniejszej szlachty, trudniącej się przemysłem lub żyjącej z kapitałów, była więc służba wojskowa niemałym ciężarem, od którego zupełnie usunąć się starała.

Obowiązek służby wojskowej dla gołoty miejskiej, określił statut Zygmunta I. z r. 1544[12]) w ten sposób, jak dla mieszczan w ogóle. Posiadający majątek, oszacowany na 1000 złp. obowiązany był stawić jednego jeźdzca uzbrojonego; czyj majątek zaś nie przenosił 500 złp. wyprawiał jednego pieszego żołnierza. Gołota mniej posiadająca, wyprawiała wspólnym nakładem jeźdzca albo piechura. Zachodziła jednak częsta potrzeba upominania gołoty do pełnienia tego obywatelskiego obowiązku, czego ślady natrafiamy w prawodawstwie. Konstytucja z r. 1578 postanowiła pod groźbą konfiskaty całego majątku, aby „szlachta, którzy dobra swoje sprzedawszy w mieście mieszkają i z lichwy żyją w wojsku służyli."

To uchylanie się od służby wojskowej było zapewne jedną z głównych przyczyn stopniowego odejmowania prerogatyw szlacheckich i poniżania gołoty. Szlachta osiadła, ponosząc najważniejsze obowiązki obywatelskie, a tworząc przytem stan panujący, obracała też wszelkie korzyści obywatelstwa wyłącznie dla siebie, usuwając inne stany od wspólnego używania praw, a zyskując dla siebie coraz to nowe i coraz obszerniejsze prerogatywy.

Gołota, mimo macoszej opieki prawodawstwa, musiała jednak dźwigać zarówno z innymi ciężary publiczne, które dobrze urodzeni i dobrze osiedli radzi zwalali na barki plebejuszów. Od „poradlnego," (podymnego, królestwa), które ciężyło wyłącznie na roli, była gołota wolną.[13]) Lecz natomiast musiała ponosić dotkliwsze nierównie, „pogłówne," (także „*subsidium charitativum*" zwane), które już z natury swej nie zawsze zostawało w odpowiednim stosunku do majątku.[14])

Zasadnicza ustawa Rzpltej, warująca wolność osoby: „*Neminem captivabimus nisi jure victum*" ściągała się wyłącznie tylko do szlachty osiadłej, jak to już wyrzekł statut Władysława Jagiełły z r. 1433 w słowach: „*caeterum promittimus et spondemus: quod nullum terrigenam possessionatum pro aliquo excessu seu culpa capiemus seu capi mandabimus.*" Szlachta nieosiadła była więc wyłączoną od najważniejszej prerogatywy szlacheckiej, zaręczającej nietykalność osoby; szlachcic nieosiadły mógł być w kryminalnych sprawach i prewencyjnie uwięziony, co zatwierdziły konstytucje z r. 1588 i 1611.[15]) Ta ostatnia wyraża się następnie: „jeźliby obwiniony luźny albo *possesionatum nobilem*, albo *civem*, *de parendo judicato* nie stawił, albo zastawy jakiej, którąby korespondowała *damno* u urzędu nie zostawił; w więzieniu *ad decisionem causae et satisfactionem judicato*, zatrzymany przez urząd być ma. *Statuto Thorunensi de violentia in civitatibus per nobilem illata, in robore manente.* A gdyby *inculpatus* niesłusznie do więzienia *per definitivam sententiam* znalazł się być podany, nie z urzędem, ale z tym, któryby go obwinił i do urzędu podał *ratione praemissorum in foro competenti patebit via.*"[16])

---

[12]) Vol. I. p. 582.

[13]) Władysław Jagiełło wyłączył od tego podatku: »*scultetos, servitores, molendinatores, tabernatores, hortulanos et cives seu oppidanos*« Vol. I. p 91—94. Długosz I. p. 537.

[14]) Podatek ten ustanowiony został za Zygmunta I. r. 1520 na sejmie w Bydgoszczy »*pro defensione Reipubl. et nervo belli*« Dotykał on wszystkie stany, nie wedle stosunków majątkowych, ale wedle stanowiska społecznego. Z tego względu ciekawy jest dotyczący statut; przyłączona doń taksa może posłużyć za miarę stopniowania ówczesnego społeczeństwa. Co do osób, należących do klasy gołoty, znajdujemy tamże następujące daty: »*familia nobilis consiliariorum, officialium et curialium, in continuo servitio curiae servientes per grossos octo*« — »*Hołomkowie et servi castrorum per gr. duos*« — »*inquilini in civitatibus majoribus et secundi ordinis per gross duos*« — »*uxores et pueri per gr. unum*« — »*inquilini uxores et pueri in oppidis habentibus fora annualia et septimanalia per gr. unum*« Statut ten opuszczony jest w Woluminach legum, znajduje się zaś u Herburta p. 76, u Przyłuskiego p 956, u Januszowskiego p. 326.

[15]) Vol. III. p 73.

[16]) Ładowski: »Inwentarz« tit. Szlachcic.

Różnica w tym względzie między szlachtą osiadłą a nieosiadłą wystąpi tem jaskrawiej, jeźli zważymy, że szlachcic osiadły, nawet już po wydaniu wyroku skazującego, mógł za poręką pozostać na wolnej stopie aż do rostrzygnięcia sprawy w drugiej instancji. Co większa, prawo dozwalało nawet osiadłego skazanego na gardło, jeźli się odwołał od wyroku sądu niższego do trybunału, wypuszczać z więzienia za poręką dwóch lub trzech osiadłych, że na czas oznaczony stanie u sądu. Gdyby zaś strona powodowa odwołała się od wyroku pierwszej instancji, natenczas pozwany bez stawienia rękojmi oczekiwał na wolnej stopie wyroku sądu głównego.[17]) Szlachcic osiadły mógł być prewencyjnie uwięziony tylko w razie schwytania na gorącym uczynku, lub jeźli już po trzykroć osądzony był za zbrodnię (*ter in regestris maleficorum descriptus.*)

Obwinionego gołotę mógł oskarzyciel za współdziałaniem woźnego uwięzić, choćby nawet u szlachcica osiadłego, od czego nieosiadły mógł się tylko wtedy uwolnić, jeźli postawił poręczycieli. Właściciel, u którego gołota czyli odartus został przyaresztowany, musiał w tydzień sam go dostawić do sądu, inaczej zań odpowiadał powodowi.[18])

W sprawach kryminalnych należał gołota przed *forum delicti* lub *forum deprehensionis*; mógł więc być sądzony przez każdy urząd grodzki, w którego obrębie był schwytany. Dla osiadłego szlachcica istniało i w sprawach kryminalnych tylko *forum rei sitae*; chociaż więc popełnił zbrodnię po za obrębem swojej posiadłości i juryzdykcji i tamże został przytrzymany, musiał być przecież odesłany do sądu, pod którego juryzdykcją leżały jego dobra. Przed *forum delicti* stawał on tylko wtedy, jeźli zachodziła potrzeba *kondescensji* tj. jeźli sąd dla rozpoznania sprawy musiał zjeżdżać na miejsce popełnionego czynu.

Według przytoczonego powyżej statutu wartskiego (art. 21) zarzut nieszlachectwa, uczyniony szlachcicowi przez kmiecia, nie miał żadnego znaczenia. Ustawa ta jednak ściągała się wyłącznie do szlachty osiadłej; szlachcic nieosiadły bowiem, musiał się z takiego zarzutu oczyścić tj. sądownie wywieźć swoje szlachectwo, co było niemałą uciążliwością, a w razie nieudowodnienia pociągało za sobą karę więzienia sześciomiesięcznego.

Prawo polskie tolerowało przechwałki i odpowiedzi aż do zupełnej bezkarności. Tolerancja ta, sprawiająca burzliwy ferment w społeczeństwie szlacheckiem, obejmowała tylko szlachtę osiadłą. Odpowiednik nieosiadły, przekonany sądownie, że czynił pogróżki, trzymany był według statutu litewskiego 12 niedziel w więzieniu. Po upływie tego czasu wypuszczano go tylko wtedy na wolność, jeźli złożył rękojmię, iż tego, przeciw któremu czynił pogróżki, zostawi w spokoju, inaczej bowiem trzymano go i nadal w więzieniu.[19])

Statut Zygmunta I. z r. 1510[20]) traktujący o mężobójstwie, podnosi różnicę pomiędzy osiadłym a nieosiadłym co do procesu i wymiaru kary. Mężobójca osiadły, karany był siedzeniem w wieży przez rok i sześć tygodni i główszczyzną 120 grzywien; w razie nieuiszczenia główszczyzny, wwiązywano powoda w dobra skazanego, lub trzymano tego ostatniego w więzieniu aż do uiszczenia się z długu. W razie zaś, jeźli zapozwany nie stanął przed sądem, konfiskowano dobra jego na rzecz skarbu królewskiego i zwracano takowe tylko wtedy, jeźli obwiniony odsiedział karę i zapłacił główszczyznę. „Jeźliby zaś mężobójca nieosiadły“ są słowa statutu, „zapozwany o zbrodnię tego rodzaju przez listy Nasze w parafji, do której należy, nie stanął przed

[17]) Statut lit. trzeciej redakcji rozdz. XI. art. 55 i 67. Czacki II. p. 164.

[18]) Vol. I. pag. 330.

[19]) Czacki: „O lit. i polsk. pr. « I. p. 218.

[20]) Herburt p. 128.

Nami, ma być publicznym edyktem za bezecnego (*infamis*) ogłoszony i za wroga ojczyzny poczytywany. A ktoby takiemu względy świadczył, przechowując go u siebie, lub znosząc się z nim, ma być pozbawiony czci tak długo, dopóki się nie oczyści — i tą karą obłożony, jaką tamten miał ponosić. Gdyby zaś taki mężobójca, osadzony w więzieniu, tamże umarł, głowszczyzna na spadkobierców nie ma być nakładana.“ (C. d. n.)

TARAS SZEWCZENKO.

(Ciąg dalszy.)

V.

(Tarasowa Noc. Hajdamaki.)

Obydwa te utwory mają odrębną od tamtych barwę. A chociaż widzieliśmy już w poprzednich Szewczenka wyśpiewującego krwawe dzieje swoich ojców, w tych dwóch utworach zwrócone są oczy poety na Polskę; zwracają więc zatem najwięcej na się uwagę naszą, chociaż nie tyle są sympatycznemi, i choć nie stanowią właściwej wielkości ukraińskiego poety.

Siedzi Kobzarz na rozdrożu — i przygrywa, a koło niego dziewczęta i chłopcy, jakoby kwitnąca niwa maku. Przygrywa i wyśpiewuje dawne Ukrainy dzieje, jak Moskale, Turcy i Polacy z nią wojowali. Potem poeta, jakoby przebudzony ze snu wspomnieniem tylko słowa „Ukraina“ zwraca się myślą wstecz, w przeszłość i w pięknych słowach wylewa żal swój za minionemi dziejami, za tą hetmańszczyzną, za tem kozactwem, temi czerwonemi żupanami, za buńczukami, za wolą, za wolnością! Wielkiem i świętem jest to uniesienie poety, porównywującego dawną wolność z teraźniejszą niewolą ukochanego ludu.

Potem wkłada poeta w usta Kobzarza opis stanu Ukrainy za czasów, w których rzecz się działa Ma to być niejako przygotowaniem, wstępem, usprawiedliwieniem faktu później wyśpiewanego.

Rosną dziatki u kozaków
Syny nie ochrzczone;
Żyją z sobą bez małżeństwa,
Bez popa chowają.
A do cerkwi podłe żydy
Ludu nie puszczają!
Jak szarańcza tak zaległy
Wrogi pola — szlachy,
Niema komu poratować,
Wskróś Unity-Lachy.
Odezwał się Nalewajko —
Dał pod powróz szyję!
Odezwał się był Pawluga —
I ten już nie żyje!
Aż zawołał wrzeszcie Taras
Trasiło ze łzami:
Biedna moja Ukraino!
Zdeptana Lachami.

(*Gorzałczyński*).

Odezwał się Trasiło i powołał kozaków pod broń, na obronę wiary i ojczystych swobód. I walczy kozactwo z panami, ale nieszczęśliwie walczy — hetman Koniecpolski trzyma się zwycięzko i wiele kozactwa trupem położył.

Po zwycięztwie odpoczywał hetman i ucztę wydał swoim. Wtenczas Trasiło zebrał kozaków, a nie uważając sprawy za straconą, postanawia zrobić nocny napad na popitą i w śnie pogrążoną szlachtę. Napad się udał. Całe wojsko koronne w pień wycięli kozacy.

Płynie Alta krwawą struga
I woła przez pola:
„Lećcie kruki, leżą Lachy,
„Martwe wśród rozdoła,“
Nalecieli czarni krucy
Wielmożnych budzili;
A kozacy się zebrali.
Bogu się modlili.

Zakrakały czarne kruki
Wydzierając oczy,
Zaśpiewali też kozacy
Piosenkę tej nocy —
Owej krwawej, strasznej nocy,
Co to sławną była,
Dla Tarasa, dla kozaków,
Co Lachów zgubiła.

(*Gorzałczyński*).

Aby pojąć ducha „Tarasowej Nocy,“ należycie ocenić ten utwor, i wyrok o nim wydać bezstronny, trzeba się przedewszystkiem przenieść na stanowisko autora i z niego zapatrywać się na tę krwawą scenę wyśpiewaną w poemacie. Trzeba rzecz osądzić, nie tylko ze stanowiska polskiego, lecz także ze stanowiska ukraińskiego na nią się zapatrzeć, — trzeba przedewszystkiem bezwzględnej szukać prawdy. W takim razie my nie jedno, co Szewczence jako niegodne poety a nawet człowieka niektórzy zarzucają, wytłumaczymy i ujrzymy piewcę może niewinnym, a chociaż nie przyklaśniemy mu, nie rzucimy też nań kamieniem potępienia.

Niezawodnie, podstawą całej dumy historycznej i strasznej Tarasowej nocy, jest zapatrywanie się poety na gospodarowanie polskich panów na wolnej Ukrainie — to jest podstawą, to pobudką całego zdarzenia; tak przynajmniej widzi rzecz tę poeta.

Jak to już raz nadmieniliśmy, Szewczenko w poezji trzyma się tradycji ludowej, trzyma się jej prawie ślepo; tradycji uczuć i sposobu zapatrywania się na stosunki względem innych warstw społecznych czyto nawet narodów. On piewca ludu, sam z ludu wyszły, lud ten kochający, wzrosły i napełniony w jego pojęciach, nie oddala się od niego w tem, co uczuciem nazywamy. To co dotyka lud ten jego drogi, to i jego dotyka; dotyka tem bardziej, że nie postradawszy serca, rozumem wzniósł się nad niego, że w wyższym jego polocie cały ogrom nędz gryzących go widzi, że widzi otchłań ciemną w której jego drodzy w niewoli, w trojakiej strasznej jęczą niewoli: ubóstwa moralnego, niewoli politycznej i społecznej! Co więc lud ten boli, to i jego boli; gdzie ten płacze, tam i Kobzarz płacze; gdzie ten skargą w niebo rzuca, tam i on to czyni; gdzie lud jego przeklina, tam i on przekleństwem miota — bo uczucie, o uczucie u tak kochającego przemaga nad zimnym rozumem. Lud zaś, ten głęboko tradycyjnie, czuje te krzywdy, jakie mu wyrządzali polscy panowie. Tradycji nie porzucał Szewczenko.

A potem, czyż nie uderzymy się za grzechy przodków naszych w piersi, czyż zaprzeczymy, że byli między nimi, byli niestety aż nadto często tacy, którzy dotykali najsamowolniej praw przyrodzonych człowiekowi, i nadwerężali je w kozaczyźnie? Nie powiadam, żeby to prawnie, podług ustaw Rzeczypospolitej robili — były to nadużycia. Lecz ponieważ każdemu szlachcice droga do tego otwartą stała, ogrom ich był wielkim i nader dokuczliwym. A lud nie zna tajników gabinetowych i sprężyn kierujących wypadkami! On bierze rzeczy tak, jak je widzi. Widział baložących go panów, choć panów nie wszystkich; a że byli Polakami, łacinnikami, znienawidził Polaków, łacinników! Tak, przyznajmy, w ustępie poematu mówiącego o stosunkach Ukrainy do Polski, jest wiele prawdy, prawdy niestety nie tylko tradycyjnej, lecz i historycznej! — Tyle o tym ustępie.

Te więc stosunki są podstawą wyśpiewanego faktu, w nich znajduje tenże swoje wytłumaczenie i niejako usprawiedliwienie; nie więc n i e n a w i ś ć p l e m i e n n a, jak to mieć chce pan Sowiński; obrona wiary i wolności, jast czynnikiem „Tarasowej nocy.“ W tem także ma wytłumaczenie swoje

drugi przytoczony ustęp, który wywołał tak wielkie w krytykach oburzenie, a które i p. Sowiński podziela. Jest to opis jak po bitwie krucy wydzierają oczy poległym szlachcicom. I cóż w tem strasznego, co „kanibalskiego,“ jak się tenże wyraża? Czy zachęca do zemsty i mordów poeta? On płacze nad niemi i narzeka! Czyż w tym obrazie „kanibalizm“ jest zawartym? Czyż tak dalece słabym i bojaźliwym był polot ducha krytyka, że obawiał się przenieść na stanowisko kobzarza i z tamtąd wsłuchać się w złowrogie krakanie ptactwa i zobaczyć pożeranie trupów szlacheckich? Czy zapytał się siebie potępiający i haniebną nazwą rzucający sędzia, czy wzdragałby się przy opisie pobojowiska polsko-kozackiego, pisząc ze stanowiska Palaka, kazać krukom rozdzierać trupy kozacze? Wszakżeż nic innego nie uczynił Szewczenko, tylko to samo z ukraińskiego ludowego stanowiska — a uczynił to w sposób jak najobjektywniejszy, tylko obrazowy. Okropność zaś sama obrazu nie daje prawa do nazwy utworu „epopeją kanibalską,“ ani obrazowanie złego jest do tego zachęcaniem.

Co do artystycznego wykonania „Tarasowa noc“ nie dorównywa poprzedniczce swojej, dumie „Hamalija.“ Gdy w tamtej poeta sam straszny fakt w całej jego jaskrawości, mistrzowsko nam maluje, gdy siłą i poetycznością języka w tamtej celuje, w tej nie widzimy tych zalet. Sama noc Tarasowa, jest tylko jako fakt zaregestrowaną niejako, pominiętą w szczegółowem obrazowaniu, a cała, jaka taka piękność tej dumy, zasadza się głównie na zwrotach w przeszłość, z których najpiękniejszym, niedrukowany w Petersburskiem wydaniu, a ogłoszony w Weczernicach (1862. Nr. 34), a który tu na zakończenie tego rozbioru „Tarasowej nocy,“ w części przytaczamy:

Buła kołyś Het'manszczyna —
Ta wże ne wernetsia,
Buło kołyś panuwały —
Ta bilsze ne budem?....
Tii sławy kozáckoi
Po wik ne zabudem!
Ukraino, Ukraino,
Neńko mojá, neńko!

Jak zhadaju tebé, kraju,
Zawjane serdeńko.
De podiłoś kozáczestwo —
Czerwoní żupany?
De podiłaś wola, wola,
Bunczuki, het'many —
De podiłoś? Izhoriło!
. . . .

Przyszedłszy nareszcie do rozbioru „**Hajdamaków**,“ musimy zacząć od przedmowy do pierwszego wydania. Dostarczy nam ona kilka ustępów do robienia nad niemi uwag naszych; wyjaśni sposób zapatrywania się autora na hajdamaków i da nam zarazem sposobność poznać, jak stronniczymi byli niektórzy krytycy polscy, jak nawet jeden dla poparcia swoich potępiających zdań na Szewczenkę, nie wahał się najniesprawiedliwiej przekręcić jego słów. Posłuchajmy, co mówi w tej przedmowie, z której wyjątki będziemy w tłumaczeniu p. Sowińskiego podawali:

„Miło posłuchać, kiedy zaśpiewa (kobzarz) dumę o tem, co działo się dawnemi czasy i jak to Lachy bili się z kozakami.“ Czy będziemy się dziwili, że potomek kozaków lubi słuchać dziejów przodków swoich, że obrazy te fantastyczne zamglonej w tradycji przeszłości kozaczej, sprawiają mu upodobanie? — A tuż zaraz dalej powiada:

„A jednakże... jednakże pomyślisz sobie: chwała Bogu, że minęło to licho! bo kiedy wspomnisz, żeśmy synowie jednej matki, że wszyscyśmy Słowianie — to aż serce zaboli, a rozpowiadać trzeba: — niech wiedzą synowie i wnucy, że ojcowie ich błądzili czasami, niech bratają się znowu z wrogami swoimi, niech od morza do morza zamilkną swary w ziemi słowiańskiej.“

Te słowa wyjęte z ust Szewczenka, niech zadadzą więc kłam prześladowcom jego — jest to wyznanie jego wiary politycznej. Zachęcaż więc Szewczenko, jak to mówi krytyk w Bibl. Warsz. (1862 T. I. Zeszyt I), do

dzieł, których treścią jest „nóż, głownia, strumienie gorzałki na wpół z krwi strumieniami?“ Sprawa ta zanadto jasną, abyśmy mieli jeszcze coś na obronę Szewczenka przytaczać. Wspomniemy tylko, że jak zarzuty te zostały tem wyznaniem Szewczenka zniweczone, okażą się równie płonnemi wobec samego utworu. On wyraźnie powiedział już, dla czego opowiada zdarzenia z Koliszczyzny. Pojedyncze ustępy poematu, unieważnią jeszcze zupełniej inne niesłuszne zarzuty. *)

„O tem co działo się na Ukrainie w 1768 r., powiada dalej Szewczenko — rozpowiadam tak jak słyszałem od starszych ludzi; drukowanego i krytykowanego nic nie czytałem, a zdaje się, że i nic nie ma.“ Ustęp ten tak jest ważny w ocenieniu tego dzieła, że nie mogliśmy go pominąć. Jest on zarazem tak wybitnym i jasnym, że nie potrzebujemy doniosłości jego objaśniać. — Nie będziemy się więc po przeczytaniu tego ustępu dziwili nad dalszemi słowami. „Żeleźniak i Gonta, atamani tej krwawej sprawy, może i nie są u mnie takimi, jakimi byli w rzeczywistości — za to nie ręczę.“ Czy można, pytamy się teraz czytelników, słowa te ostatnie położyć na karb „bezczelności“ autora, jakto uczynił ów krytyk p. Sowińskiego i Szewczenka? Przecież powiada Szewczenko, że nic w tym względzie nie czytał, a tradycji tylko się trzyma. Właśnie więc widzimy tylko jego dobre chęci, szczerość — gdy nie ręczy za bezwzględną prawdę tam, gdzie wie, że może być zaćmioną właśnie tą tradycją. Byłby bezczelnym w przeciwnym razie, gdyby nie popowiedział tego, gdyby tradycję wydawał za historyczną prawdę. Czy potrzebujemy tu jeszcze co dodać?

Niesprawiedliwość jednak owego recenzenta okaże się nam teraz dopiero w swoim szczycie. Oto posłuchajmy końca przedmowy do „Hajdamaków.“

„Dziad mój, daj mu Panie Boże zdrowie, skoro bywało opowiada cokolwiek takiego, czego sam nie widział, a o czem zasłyszał tylko, to najprzód powie: kiedy łżą starzy, to i ja z nimi.“ A posłuchajmy teraz przekręcenia tych słów, przez recenzenta: Szewczenko wyznaje najbezczelniej: że Żeleźniak i Gonta może i nie są u niego takimi, jakimi byli w rzeczywistości, ale kiedy łżą starzy, to i on z nimi łgać musi.“ To przekręcenie i zastosowanie tych słów, świadczy najlepiej o wiarygodności krytyka. Oto broń jaką walczą przeciw ukraińskiemu poecie. Za życia nieszczęśliwy, a po śmierci ironją, wyśmiewaniem, przekręcaniem słów jego i prawdy wojują przeciw niemu! Ale czas abyśmy pogardzili tymi wojownikami i prawdę ujrzeli; oni spotwarzając tego, którego szczep bratni zwie ojcem, jeszcze więcej nas różnią od niego. Oni, chociaż mimowoli, służą jednak wrogom naszym.....

---

*) Dobrze jest w ocenianiu utworów stawiać się na stanowisku poety i uwzględniać jego przekonania; nie można jednak pomijać zupełnie drugiej strony, to jest czytelników. Sąd w takim razie wypadnie jednostronny i niesłuszny. Poeta nie śpiewa dla siebie; pieśń jego ma słuchaczy i wrażenie jakie na nich wywiera, jakie w nich budzi uczucia jest jej celem. Daremnie tu więc Autor stara się usprawiedliwić Szewczenkę. Wiele go tłumaczy, ale nic nie usprawiedliwia. Tłumaczy poetę jego przeszłość nieszczęśliwa, nieznajomość dziejów i wielka, niekłamana miłość do ludu, którego nędzę czuł głęboko. Ale jakiż cel miał Szewczenko pisząc „Tarasową noc“ i „Hajdamaków?“ — Pisał dla ludu; chciał mu pokazać świetną przeszłość i potęgę Ukrainy kozaczej, a wybrał do tego chwilę, w której — jak to już Autor we wstępie tej rozprawy powiedział — „Kozaczyzna znikczemniała i wyrodziła się w dzikie hordy krwawych mścicieli.“ Pieśń o przeszłości zagrzewa do czynu Szewczenko puszcza w świat swoje pieśni — „wszak to duch żyjący“ — i każe im lecieć w Ukrainę: „tam was przyjmą dziatki moje!“ — Do jakichże czynów pobudzają te dwie pieśni Szewczenka? Jakąż to przeszłość podnoszą? — Tym sposobem nie przybliża się chwili, jakiej pragnął Szewczenko, a w której wszyscy „synowie jednej matki“ przestaną sobie być wrogami i „od morza do morza, zamilkną swary w słowiańskiej ziemi.“ Rzeczywiście też te utwory przyczyniły się najwięcej do rozdrażnienia i rozdwojenia dwóch bratnich ludów. Z przeszłości należy się wydobywać to, co miała w sobie pięknego i szlachetnego, a sprawiedliwie piętnować wszystko złe, szkodliwe i haniebne. Z równem obrzydzeniem odwracamy się także od naszych polskich poematów i powieści, podnoszących pijatykę, bezprawia i gwałty szlacheckie. — Wiele dałoby się tu jeszcze powiedzieć i zarzucić, ale poprzestajemy tą razą na tem, nie mogąc się zbyt rozszerzać w małym dopisku. *Przyp. Red.*

I czyż mamy się dziwić teraz, dla czego opinja polskiego ogółu, nie czytającego utworów Szewczenka, tak złe ma o nim wyobrażenie? Zrzućmy raz zasłonę włożoną nam na oczy przez krytyków, a przejrzyjmy i w prawdę uwierzmy! Po tej przedmowie do pierwszego wydania „Hajdamaków“ następuje prolog wierszem. Jest to dumka, którą snuje poeta nocą, siedząc za stołem. W tęsknocie swojej przypomina on sobie, jak na tym świecie wszystko harmonijnie, w pewnym porządku się dzieje, jak jedne zjawiska po drugich następują i powtarzają się po sobie, a nikt nie wie dla czego? Ani mądry, ani durny nie powie tego. Wszystko mija i gdzieś przepada, jedno się rozwinie, a drugie więdnieje; zżółkłe liście wicher rozniesie — a świat zawsze jednakowym zostanie, gwiazdy jednakowo świecić będą, tak samo słońce zejdzie i ty księżycu jednakowo po niebie bez końca płynąć będziesz. I teraz zaczyna poeta rozmowę, nocną dumkę z białolicym; i pyta się go o radę, co ma zrobić z dziatkami swojemi, z dumkami? Puścić je w świat, czy przy sobie zatrzymać? O nie, puścić, — wszak to duch żyjący! Więc puszcza swoich „Hajdamaków“ w świat i każe im lecić w Ukrainę — tam was przyjmą dziatki moje! O bo tu, (w Moskwie) powitają was ze śmiechem, niedorosłe syny, nierozumne dzieci. Tu sami mędrkowie! — I tutaj robi wycieczkę satyryczną przeciw owym mądrym i uczonym moskiewskim krytykom. Radzą mu oni, aby przestał śpiewać o tem, po czem zaledwie mogiły zostały i to — rozkopane! a jeźli chce mieć sławę i bogactwa, niechaj śpiewa im **Matroszę**, **Nataszę** *) i t. d. Ale on ich rady nie słucha — on sobie zaśpiewa i zapłacze, jak dziecię bez matki. Zaśpiewa i wyśpiewa przeszłość Ukrainy. — I tu następuje piękna fantazja, cała dawna Ukraina przelatuje przed oczyma duszy jego. Potem robi alluzję do przyjaciela swojego, artysty dramatycznego Szczepkina, któremu „Hajdamaków“ poświęca; on niech pobłogosławi dziatki jego — pieśni, a potem niech lecą w Ukrainę!....

Właściwy poemat zaczyna się rozdziałem, zatytułowanym „**Introdukcja**“ Szewczenko rzuca tu szkic wewnętrznych dziejów dawnej Polski; są to dość trafne myśli o owej szlacheckiej Rzeczypospolitej, co jednak każdego na wstępie uderzyć musi, to nieznajomość dziejów. Powiada autor, że szlachta porzucała się królami, z wyjątkiem Stefana i Jana Sobieskiego. Co do pierwszego prawdą jest, że umiał na wodzy trzymać rozhukane już wówczas żywioły szlacheckie —, ale czyż był słabszy król nad Jana Sobieskiego? Tak więc szlachta wichrzyła w Polsce, aż, jak powiada Szewczenko, zapanował nad nią „Poniatowski żwawy“ —

Zapanuwáŭ, taj dumaŭ szlachtu
Prybórkat' troszki ... ne zumiŭ!
Chotiŭ dobrá, jak ditjam maty;
A możej szcze czoho chotiŭ:
Jedyne słowo „niepozwalam,“
Chotiŭ u szlachty odibrat',
A potim... Polszcza zapałała,
Szlachta skazýłasia... Kryczìát':
Słowo honoru, darma pracia!
Pohaneć nájmyt Moskalá!
Na hwałt Puławskoho i Paca
Wstaje szlachétśkaja zemlá,
I — rázom sto konfederacij!

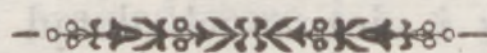
Przytoczyliśmy ten ustęp, aby wskazać owo złe pojęcie autora o panowaniu Stanisława Augusta, jego chęciach, o powstaniu i przyczynach konfederacji barskiej. Takie wystawienie króla w dobrem, a konfederacji w złem świetle, już co do zasady, w skutek której powstała, znajduje wytłumaczenie po większej części w owych stosunkach pod moskiewskim rządem, gdzie dzieje panowania Stanisława Augusta albo nieprzebytą tajemniczą zasłoną są zakrywane, albo najbezczelniej przekręcane, tak, iż naturalnie Stanisław August, jako król dzielny, chcący dobra swojego narodu, ma po swojej stronie słuszność, a tem samem i Moskwa, która go wspierała.

*) Moskiewskie poemata romantyczno-rycerskie.

Szewczenko mógł zaś tylko takie książki czytać, a gdy z polskiej strony żadnych nań wpływów nie było, zdanie w nich wyczytane, wsparte jeszcze tradycją ludową na Ukrainie, źle widzącą konfederację, umocniło się w nim i wyrobiło nawet w przekonanie o zupełnej nieprawności konfederacji; co więcej, zrobiło z niej potwór, assocjacją zbójecką, która wedle zdania Szewczenka zasługiwała na takie wystąpienie hajdamaków. Oto ustęp dalszy o konfederatach:

Rozbriłýś konfederaty,
Po Polszczi, Wołyni,
Po Łytwi, po Mołdawanach
I po Ukraini;
Rozbriłýsia, taj zabuły
Wolu ratuwaty,
Połyhały sia z Żydamy,
Taj nu rujnuwaty,
Rujnuwały, morduwały,
Cerkwamy topyły.....
A tymczasom Hajdamaki,
Noži oświatyły.

Boleśnie to, nawet oburzająco czytać taką charakterystykę tych, którzy pierwszymi byli obrońcami wolności i pierwszymi powstańcami w ostatniej naszej epoce dziejów, którzy zbudziwszy się z długiego nędznego snu ojców swoich z epoki Sasów, ofiarując wszystko na ocalenie Ojczyzny i wiary, stali się znowu podobnymi do ojców z Jagiellońskich czasów i godnymi nazwy szlachciców i szlachetnych ludzi. — Prawdziwie już ten wstęp byłby dostatecznym, żeby z pogardą odrzucić książkę, w której takie znajdują się zdania, w której tak słuszność sponiewieraną. A jednak nie możemy potępić tego, który nam opiwał tak piękną kartę dziejów naszych. Gdyby światło prawdy mogło było dotrzeć do umysłu jego, nie byłby tak pisał. Po części więc niewiadomość, po części trzymanie się podań ludowych, których wiarygodność w tym razie nie mogła być zimną prawdą historyczną zniweczona, są tego przyczyną. Wstęp ten do poematu, jest ważnym, albowiem przedstawiając sprawę króla jako słuszną, a sprawę konfederatów, jako buntowników przeciw niemu, zatem jako niesłuszną, wyjaśnia także o wiele sympatją autora do jego figur hajdamackich. Mają więc one w oczach poety, obok słuszności w obronie wiary i wolności przeciw szlachcie i to, że walczą w ogóle przeciw złej, a pomagają dobrej sprawie. (C. d. n.)



Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski. Wydał August Bielowski. Tom I. Lwów, nakładem własnym 1864. str. XXXII i 946.

(Ciąg dalszy.)

Schyłek wieku XVII zapowiadał już wyraźnie smutną przyszłość polityczną dla Polski. W następnym wieku upadek szybkim przybliżał się krokiem. Czasy ówczesne straciły ten urok wielkości i sławy, jakim jaśniała epoka Zygmuntów. Przyszłość zasuwała się coraz czarniejszemi chmury. Jedyny pogodny widok, to pogląd w przeszłość. Jakoż ponosząc coraz boleśniejsze ciosy w teraźniejszości, widząc z wzrastającą obawą coraz niepewniejszą przyszłość przed sobą, zwrócił się cały naród ku przeszłości, w niej szukał rękojmi swego bytu, jej wspomnieniem krzepił upadającego ducha. Im bardziej oddalała się ta przeszłość od chwili obecnej, im niepodobniejszem stawało się wskrzeszenie jej, tem skrzętniej poczęto się ubiegać

o zebranie dawnej sławy pamiątek, o przechowanie i ocalenie każdej okruszyny minionej świetności. Jakoż rzucono się w wieku XVIII z gorączkowym zapałem do wydawania już nie tylko samych kronik, ale nawet dokumentów, dyplomów, djarjuszów, pamiętników, słowem wszystkiego, co tylko mogło posłużyć materjałem dziejowym.

Rozpoczyna ten nowy zwrot rzadkie dzisiaj dzieło noszące tytuł: *Vincentius Kadłubko et Martinus Gallus, scriptores historiae polonae vetustissimi, cum duobus anonymis ex M. S. biblioth. episcop. Heilsbergensi editi. Gedani 1749 fol.* Dzieło to wydane zostało staraniem Grabowskiego b. krak., a ogłoszone w niem pomniki dziejowe przysposobił do druku Lengnich. Jest to pierwsze wydanie drukiem Galla, uskutecznione z zaginionego rękopisu szamotulskiego; zaś miasto Kadłubka wydrukował Lengnich poprzekręcany tekst kroniki Miorsza (Mierzwy), w tem przekonaniu, że wydaje mistrza Wincentego.

Niespełna w dziesięć lat poźniej wystąpił z rozleglejszą nierównie publikacją ks. Maciej Dogiel. Mąż ten uczony i pracowity nagromadził ogromny zbiór dokumentów i aktów dziejowych, który postanowił ogłosić drukiem w sześciu tomach. Jakoż istotnie w r. 1758 okazał się w Wilnie pierwszy tom tej olbrzymiej i nader ważnej pracy pod tytułem: *Codex diplomaticus Regni Poloniae et M. D. Lituaniae fol.*, dedykowany królowi Augustowi III. Równocześnie wydał Dogiel inne dzieło, będące także zbiorem autentycznych dokumentów p. t.: *Limites R. Poloniae et M. D. Lituaniae 4to.* Wszelako z zapowiedzianych sześciu tomów dyplomatarjusza tylko trzy zostały wydrukowane: w r. 1759 opuścił prasę piąty, w 1764 czwarty, już po śmierci autora, który w r. 1760 życie zakończył. Inne trzy tomy, przygotowane już zupełnie do druku, złożone zostały z wyższego rozkazu dla rozmaitych względów politycznych w rękopismie w bibliotece królewskiej. Dzieło Dogiela jest pierwszą tego rodzaju publikacją, przed nim nie pomyślał nikt o sporządzeniu zbioru dyplomatycznego do historji polskiej.

Wyprzedził Lengnicha i Dogiela F. W. Sommersberg wydawszy w l. 1729—1732 w Wrocławiu trzytomową kolekcję kronik i innych pomników dziejowych p. t.: *Silesiacarum rerum scriptores etc. fol.* Sommersberg miał głównie sprawy Szląska na baczności, nie mógł więc oczywiście pominąć źródeł polskich. W zbiorze jego znalazły się tedy z ważniejszych: kronika Janka archid. gnieźn., wydana tu poraz pierwszy, kronika Bogufała z kotynuacją Baszka, również poraz pierwszy wydane, Długosza żywoty bisk. smogorzewskich, prócz tego kilka ważnych dokumentów i nieznanych dotąd roczników.

Kilkanaście lat przed publikacją Sommersberga doczekał się był już Długosz pierwszego kompletnego wydania kroniki, które pojawiło się w Lipsku i Frankfurcie w 1711 r., w dwu tomach fol., za staraniem barona Huysena. W drugim tomie zawierającym tylko XIII księgę długoszowej kroniki, pomieścił wydawca jeszcze dzieła kilku historjografów XVI wieku i przedrukował z dobromilskiego wydania kronikę mistrza Wincentego.

Po tych pierwszych pojawiają się coraz częściej podobnego rodzaju publikacje. W r. 1752 przedrukowuje Józef Załuski ref kor. kronikę Bogufała i Baszka z Sommersberga, w r. 1761 poczyna wydawać w Warszawie nowy zbiór historyków polskich W. Micler de Kolof p. t.: *Historiarum Poloniae et M. D. Lituaniae scriptorum, quotquot ab initiis R. Poloniae ad nostra usque tempora extant, omnium collectio magna etc. vol. 4 fol.*

Równocześnie zbiera Józef Andrzej Załuski wielkim kosztem i niemniejszym trudem stare księgi, rzadkie druki i rękopisma i zakłada ogromną bibliotekę, przeszło 250,000 dzieł liczącą. Nagromadzenie materjałów, w znacznej części dotąd nieznanych, spisy bibliograficzne, pomiędzy którymi zasługują na szczególniejszą uwagę Jana Daniela Janockiego prace, torują drogę do poszukiwań przyszłym badaczom dziejów. Wszelako zamiast postępować dalej na tej drodze, zamiast

brać owe surowe materjały pod pilnik krytyki, oczyszczać je z błędów i mnóstwa paczących prawdę wtrętów, budzi się w pisarzach przedwczesna chęć ułożenia w systematyczną całość dziejów Polski. Pojawiają się więc kompendja historji polskiej, których liczny szereg w tymże wieku otwiera Augustyna Kołudzkiego „tron ojczysty albo pałac wieczności w krótkiem zebraniu monarchów książąt i królów polskich wystawiony," w Poznaniu 1727. Po Kołudzkim wychodzą rychło po sobie w kraju i zagranicą również liche prace F. Lauterbacha, G. Lengnicha *hist. pol. a Lecho ad Augusti II. mortem*, A. Wiśniewskiego, Solignac'a, W. Łubińskiego, G. Stolterfotha, Schmida, Albertrandego i F. Wagi. Książki wszystkich tych pomienionych autorów pomnażają tylko kwantytatywnie naszą historyczną literaturę, nie zmieniają jednak bynajmniej jej wewnętrznej wartości, nie posuwają ani o włos naprzód dziejowych badań, owszem wypisując z poprzedników swoich wszystkie brednie i zabobonne baśnie, przyczyniają się do tem większego rozpowszechnienia i utwierdzenia fałszów. Nie wiele też się przyłożyły do rozświecenia prawdy dziejowej niby krytyczne dysertacje o Lechu J. A. Jabłonowskiego, Schloecera i wiele innych rozpraw o Słowianach, o Lechu i Czechu o Wendach, Antach i Sorabach, drukowanych w *acta societatis Jablonovianae* w Lipsku. Były to wszakże, obok badań J. Potockiego, Gatterera i kilku innych, pierwsze blade połyski budzącego się zmysłu krytycznego, który miał pchnąć dziejownictwo nasze na nowe tory.

Na takim stopniu rozwoju stało dziejopisarstwo polskie, kiedy Adam Naruszewicz, wezwany przez króla Stanisława Augusta, zabrał się do spisania dziejów ojczystych na wielką skalę. Uczony i niepospolitą bystrością umysłu obdarzony biskup nie przystąpił lekkomyślnie i z płochą porywczością do zamierzonego dzieła. Owszem ocenił on należycie cały ogrom pracy, jakiej ono wymagać będzie po nim i zapatrywał się na przedmiot swój z tak szczytnego stanowiska, jak żaden z dawniejszych, ani nawet ze spółczesnych mu dziejopisów. Przyjdzie mi resztę życia strawić „między brogami papierów" — pisze on w memorjale do króla — biorąc na się pracę, której nikt od dwu wieków nie podjął. Czworakie bowiem piszący historję ma zadanie: „Zebranie rzeczy pilne i oszczędne; rozłożenie łatwe i porządne, krytyka mądra, ozdobienie gładkością pióra powabne." Miał Naruszewicz to mocne przeświadczenie, że niedosyć jest przewertować te źródła, które zostały już drukiem ogłoszone, ale trzeba sięgnąć głębiej do rękopisów; nie dosyć jest poznać tylko kroniki i dzieła historjografów, ale potrzebnem jest nadto przetrząsnąć archiwalne zbiory, akty, dokumenty, dyplomy, pakta, konstytucje sejmowe, pomniki prawodawcze i t. p.; pojmował jasno, że nie może poprzestać na rozpatrzeniu jedynie źródeł krajowych, ale że wypadnie mu odnosić się niejednokrotnie i do obcych pisarzów, szukać w nich pojaśnienia co do stosunków Polski z sąsiadami, a często i jej wewnętrzne dzieje przy niedostatecznych świadectwach ojczystych uzupełniać świadectwami sąsiednich cudzoziemców. Nadto wszystko przekonanym był głęboko o wysokiej godności dziejopisarza i oceniał sumiennie odpowiedzialność, która cięży na historyku, jako mającym „opowiadać o narodzie, do narodu, z okazałej wieków i ludzi mogiły podnosić głos do obecnych i przyszłych pokoleń." Z prawdziwem więc poświęceniem, godnem tak wielkiego dzieła, z szlachetnym zapałem i wysoką czcią dla prawdy i bezstronnej krytyki, które nie powinny „przebaczać ani koronom, ani szkarłatom, ani infułom," wziął ten szanowny mąż do ręki dziejopisa pióra. Na rozkaz miłującego nauki króla stanęło mu wszystko otworem: biblioteki publiczne, książnice klasztorne, archiwa prywatne i rządowe. Kopjowano dlań i znoszono ze wszech stron najrzadsze pomniki, rejestrowano i porządkowano materjały, ułatwiając ile możności dziejopisarską pracę. Naruszewicz znalazł więc pod ręką tak obfity zasób materjałów, jakiego żaden z następców jego już mieć nie mógł i bodaj czy kiedy w przyszłości który historyk polski mieć będzie. Ale w jakimże stanie były te materjały? — „Był to zaiste niezmierny, a na samo wejrzenie okropny, ale las tylko, *rudis indigestaque moles!*"

Wiek XVIII bowiem odgrzebał wprawdzie wiele źródeł dziejowych, uratował od zatraty niejeden pomnik historyczny, ale do krytycznego ich rozpatrzenia i przygotowania nie posunął się bynajmniej. Wydawcy ówcześni sądzili, że już wszystko zrobione, gdy ukrywający się w rękopisie zabytek ogłoszą drukiem. Wydrukowanie jakiejś kroniki wprost z rękopismiennego kodeksu poczytywano za największą trudność, którą raz przezwyciężywszy, uważano za rzecz zupełnie zbyteczną, odnosić się powtórnie do tegoż rękopisu, a tem mniej zaglądnąć do innych kodeksów tejże kroniki, i wszystkie dalsze wydania uskuteczniano przedrukowując tylko pierwsze już drukowane wydanie. Tak mnożyły się wprawdzie edycje, ale przedmiot sam nie zyskiwał na tem nic a nic. Pomimo wielu publikacyj i kolekcyj dziejopisów źródłowych, któremi wzbogacił historyczną literaturę polską wiek XVIII (a z których główniejsze przytoczyłem powyżej), stały jednak tak rzeczy, że nie wiedziano często co komu przysądzić, do których czasów odnieść wydane dzieło, kto jego autorem. Herburt wydając Wincentego nie wiedział, że to jeden z pierwszych kronikarzów, a Baszko, żyjący w drugiej połowie XIII wieku, wydawał mu się starszym od Galla, który zakończył życie w pierwszych lat dziesiątkach XII wieku. Lengnich drukował zepsutego Miorsza, myśląc, że drukuje Kadłubka, a późniejszy o 150 lat około wtręt o św. Stanisławie w Gallu nie wzbudził w nim najmniejszego podejrzenia. Załuski, mając pod ręką cenny kodeks Bogufała i Baszka, przedrukował przecież tylko wydanie Sommersberga, sądząc, że trud porównania tegoż wydania z jego kodeksem jest zupełnie niepotrzebny. Micler miał wyraźny wstręt do rękopismów, tylko w ostateczności do nich sięgał, zresztą robił jedynie przedruki z poprzednich wydań: Galla i mniemanego Kadłubka z edycji gdańskiej, Bogufała, Baszka, Janka i innych z Sommersberga, powtarzając z stereotypową wiernością niedostatki, błędy, a nawet bezsensa owych pierwszych wydań. Porównać ze sobą choćby dwa przynajmniej kodeksy jednej kroniki, dochodzić co pierwotnie ręką autora zostało zapisane, a co późniejsze przyczyniły pióra, oczyścić złoty kruszec prawdy z żużlów i rdzy, któremi go oszpeciły pobożne a kłamliwe legiendy mnisze, wydzielić jasny promień świadectw źródłowych z wyżółkłych strzępków erudycji kościelnej i błędnych ogników tradycyj biblijnych, z napuszystych przyczepek miłości własnej i dumy narodowej — o tem w XVIII wieku nikt nie pomyślał.

„Historyk jest to architekt — pisze Naruszewicz w pomienionym memorjale, który lubo wszystko ma obejrzeć, jednak robotą cegieł i okrzesywaniem belek bawić się nie powinien i tylko gładzić, układać i spajać podane sobie od biegłych subalternów materjały.“ Jest to najświętsza prawda, ale Naruszewicz nie zastał przygotowanych do swojej architektonicznej budowy dziejów, ani urobionych cegieł, ani okrzesanych belek. Mieli mu je urobić i okrzesać przydani biegli pomocnicy w pracy, wszelako nie podołali zadaniu, bo przysposobienie krytyczne materjałów do złożenia ich w uporządkowany, systematyczny całokształt dziejów, nie jest dziełem jednego roku, ani też nawet jednego lat dziesiątka. Naruszewicz ujrzał się więc wśród stosów nagromadzonych surowych materjałów, jakoby w nieschodzonym lesie, po którym tysiące krętych wije się ścieżek, prowadząc w obłęd podróżnika. Uwzględniając wszystkie te okoliczności, nie można się dziwić, że Naruszewicz nie ogarnął całości, że się w wykonaniu samegoż dzieła nie wywiązał tak ze swego zadania, jak je pojął i rozwinął w teorji w swoim memorjale do króla. W dziejach pierwotnych przedchrześcijańskiej Polski popadł autor w taki nierozgarniony chaos, że nie ważył się nawet ogłaszać ich drukiem. Rozpoczynając więc w Warszawie 1780 swoje: Dzieje narodu polskiego wydanim drugiego tomu; tj. od początku chrześcijaństwa czyli od Mieczysława I. i wykończając tomy następne do druku, pracował tymczasem ciągle nad pierwszym, po kilkanaście razy jeden ustęp z gruntu przerabiając, w miarę jak nowo przejrzane źródła, lub dokładniejsze znanych już rozpatrzenie, na różne naprowadzały go wnioski. Nie wykończoną ostatecznie przez autora tę pierwiastkową epokę dziejów naszych, wydało w roku 1824 z rękopisu towarzystwo przyjaciół nauk war-

szawskie. Od Mieczysława I. spodziewał się Naruszewicz, że będzie mógł już pewniejsze stawiać kroki, wszelako i tu znalazł nadspodziewanie wiele trudności. Musiał odstąpić od swojej zasady i sam pełnić funkcje architekty, murarza i cieśli, musiał sam doszukiwać się pomników i zajmować się ich oczyszczeniem i rozświecaniem. Na tem rozerwaniu straciła oczywiście wiele całość na ozdobnem zaokrągleniu, rzecz rozprysła się w mnóstwo krytycznych dopisków, które nużyły i mocno zaprzątały piszącego, ale sam przedmiot zyskał niezmiernie wiele. Naruszewicz nie zbudował, jak zapowiadał gmachu, wykończonego zupełnie, ale jest pierwszym, który w dziejopisarstwo nasze wprowadził sumienniejszą krytykę, a przynajmniej uczuł konieczną jej potrzebę. Nie ustrzegł się i on błędów, krytyka jego jest najczęściej niedostateczną, niewyczerpującą, wszelako przy takiej zewnętrznej pomocy jaką miał i przy nadzwyczajnie trzeźwym rozsądku obok ogromnej erudycji, czem nawet wielu dzisiejszych badaczów przewyższa, powiodło się mu dokonać dzieła, które jako jedyne wówczas w swoim rodzaju nietylko w Polsce, ale w całej Słowiańszczyźnie, z powszechnem i sprawiedliwem przyjęte zostało uwielbieniem. Najkardynalniejszą wadą Naruszewicza jest, że nie rozróżniał ściśle świadectw do pomocniczych podań późniejszych i często nadużywał tego wiele znaczącego wyrazu. W krytycznej historji świadectwa przyjmują się tylko od tych, którzy nie później jak w przeciągu stu lat od zdarzenia samego żyli; z drugiej setki lat biorą się już tylko pomoce do świadectw. Co opowiadają późniejsi, jest to już tylko tradycja, podanie z których wolno sumiennemu historykowi tylko wtedy korzystać, gdy do pewnych wypadków żadnych nie znajduje świadectw, zwracając wyraźnie na to uwagę czytelnika, że dla braku źródłowych relacyj ucieka się do podań późniejszych. Na to nie baczył Naruszewicz. Trącając co chwila o nowe wątpliwości, szukał on jakiejś powagi, o którą mógłby się oprzeć, i tagą powagą wydał mu się Długosz. Dzieło tego Nestora naszego dziejownictwa wziął on za podstawę, na której ugruntował i rozprowadził największą część swojej historji. Nowsza krytyka wykazała niezbicie, że Długosz nie zawsze dobrze rozumiał świadectwa dawniejszych i że nie daje rękojmi żadnej w rzeczach, które wiek jego wyprzedziły, nie mógł i Naruszewicz więc trzymający się go głównie dotrzeć do samego jądra prawdy. Pomimo tych niedostatków jest i pozostanie zawsze dzieło Naruszewicza ozdobą naszej literatury historycznej i każdy dzisiejszy badacz dziejów, każdy ziomek, powinien je brać do ręki ze czcią i uczuciem wdzięczności dla światłego i pracowitego biskupa.

Rozdzierające serce każdego prawego Polaka wypadki ostatatniego dziesiątka lat XVIII wieku, wytrąciły pióro z ręki Naruszewicza. Urwał swe dzieje na roku 1386 w tomie siódmym, wydanym w roku 1786. Praca jego dziejopisarska tworzy przechód z epoki pozbawionej wszelkiej krytyki historjografji, do newej epoki krytycznego opracowywania dziejów, którą rozpoczyna i rozwija XIX wiek.

(C. d. n.)



ROZMAITOŚCI.

Propozycje Bonneville'go do reform w dziedzinie prawa karnego. Bonneville de Marsangy, radca cesarskiego sądu apelacyjnego w Paryżu robi w powyższem dziele następujące propozycje do zmian w sądownictwie w sprawach karnych.

Motto całego dzieła opiewa: »Rząd, czujący gorąco swe obowiązki w obec kraju nie może się tem zadowolnić, że prawa znajdują prawdziwie szybkie i staranne zastosowanie; jest bowiem koniecznem, żeby prawodawstwo razem z ogólnem wykształceniem postępowało, żeby odpowiadało wymaganiom oświaty, instytucjom i obyczajom, żeby poprawiało i udoskonalało się z postępem czasu i oczyszczało się z rdzy przeszłości.«

Bonneville wykazuje najprzód statystycznie że liczba zbrodni i przestępstw przeciw własności mniejszyła się w ostatnich czasach — przeciwnie przybyło ich stosunkowo więcej przeciw obyczajności u osób starszych, jeszcze więcej u dzieci. Przyczyna tego powiększenia leży — jak powiada Bonneville — w łagodności sądów przysięgłych, którzy uniewinnieniami do takich przestępstw najwięcej pobudzają — przeciwnie zaś wszelkie naruszania praw własności z niewzruszoną surowością karzą.

Oto są projekta reform proponowane przez p. Bonneville:

1) Warunkowe uwolnienie. Skazany powinien — jeźli się w więzieniu dobrze sprawował — być wypuszczonym przed końcem kary. Reszta nie ma być wykonana, jeźli na wolności nie przestaje dawać dowodów dobrego sprawowania się.

2) Rozszerzenie praw policji pod względem uprzedzania zbrodni i przestępstw. Bonneville sądzi, że wczesne przestrogi udzielane od władz stosownych ludziom początkującym na złej drodze (*méchant commencé*) bardzoby zbawienny wpływ wywierały.

3) Złożenie kaucji przez tego, o którym sądzić można że i dalej naruszać będzie porządek publiczny.

4) W związku z poprzedzającem stoi kara sądowego napomnienia. W bardzo wielu wypadkach surowe napomnienie przestępcy tak samo by zadosyć uczyniło sprawiedliwości, jak krótkie areszta lub kary pieniężne, uważane jako środek zapobiegający większemu złemu. Krótkotrwałe uwięzienia w ostatnim razie nawet nic nie skutkują.

5) Rozszerzenie systemu kar pieniężnych. Dotychczas zanadto szafowano karami, które polegają na ograniczeniu osobistej wolności. To poniża w oczach ludu moralną wartość wolności. Natomiast kara pieniężna jest tą, *qui est la plus génereuse, la plus libérale, la plus divisible, la plus économique, souvent la plus analogue au délit et la plus efficace.* Powinna być wymierzana podług majątku skazanego, a podatek dochodowy daje do tego odpowiednią miarę. Kto zapłacić nie może, ten nie ma iść do więzienia, lecz musi karę odrobić — jak to *code forestier* z 18 czerwca 1859 przepisuje.

6) Przyznanie się powinno być uważane jako okoliczność łagodząca.

7) Zapobiegania fałszywemu świadectwu i krzywoprzysięztwu.

8) Zniesienie utraty czci obywatelskiej w skutek wyroków za tak zwane bezecne zbrodnie. Takie napiętnowanie zawiera w sobie coś nieludzkiego, coś co tę cześć obywatelską wyniszcza. O karach hańbiących powiada, że *qu'elles sont à la fois une anomalie, un germe de degration et de corruption, un veritable non-sens dans nos lois modernes, un insurmontable obstacle a l'amendement des coupables et à leur reclassement dans la société.*

Dzieło to należy do najlepszych w nowszej literaturze karnego prawa i spodziewać się można, że wielki wywrze wpływ na całe prawodawstwo karne.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **F. B. Twardowski.**
Za Redakcję: **L. Tatomir. E. J. Janicki.**
Z drukarni Zakładu nar. im. Ossolińskich. *Pod bezpośrednim zarządem Aleksandra Vogla.*